

DLA FANÓW HARLANA COBENA I LEE CHILDA

TIM WEAVER

ZNIKĘŁA, BO CHCIAŁA?
CZY KTOŚ ZDECYDOWAŁ ZA NIĄ?

NIE WIESZ,
KIM JESTEŚ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
BROKEN HEART

Copyright © Tim Weaver 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Leonel Romero/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



00:00:01

Kamera ustawia ostrość.

Emerytowany detektyw Ray Callson siedzi na krześle w przeciętnym, skąpo umeblowanym pokoju biurowym o jasnych ścianach. W oknie jest żaluzja, ale uchylona, więc widać przez nie wieżowce centrum Los Angeles – niewyraźne szaroniebieskie plamy w tle. Callson bierze podany mu mikrofon. Zza kadru odzywa się cichy, nienaturalnie brzmiący głos:

– Proszę przypiąć do koszuli.

Callson wykonuje polecenie, po czym prostuje się i przygląda siwe włosy, zaczesane na bok, z przedziałkiem równym jak od linijki. Mimo przekroczonej sześćdziesiątki wciąż jest przystojnym mężczyzną. Jego jedyny zarost to wąsy, a w przenikliwych zielonych oczach malują się dwie żółte kropki – odbicie światła lampy przymocowanej uchwytem do kamery. Czekać, parę razy odchrząkuje i zerka na zegarek.

– Jest pan gotowy?

– Oczywiście – odpowiada Callson.

Kamera z szumem zaczyna pracować.

– Czy na początek może się pan przedstawić?

Callson jeszcze raz odchrząkuje i mówi:

– Nazywam się Raymond J. Callson. Przez trzydzieści dwa

lata byłem funkcjonariuszem policji w Los Angeles.

– Czy się pan zajmował?

– Większość tego czasu pracowałem nad sprawami zabójstw.

– Podobała się panu ta praca?

– Podobała? – Wzrusza ramionami. – Nie wiem, czy to odpowiednie słowo.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewien, czy ktoś idzie do policji, zwłaszcza do wydziału zabójstw, z myślą, że będzie mu się to podobało. Przecież ma się do czynienia z ludźmi, którzy zostali zgwałceni, zakłuci nożem, zastrzeleni... Czy to kojarzy się z czymś przyjemnym?

Zza kamery nie pada żadna odpowiedź.

Callson znowu wzrusza ramionami.

– Zresztą niech pan robi swoje.

– Czy kiedykolwiek chciał się pan znaleźć gdzie indziej?

– To znaczy?

– Czy kiedykolwiek chciał pan zmienić pracę?

Callson bierze głęboki oddech, jak gdyby sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie i do dziś nie znalazł odpowiedzi.

– Oczywiście. Zdarzają się chwile, kiedy człowiek zastanawia się, co by było gdyby. Mój stary pracował w służbach komunalnych przy utrzymaniu zieleni. Bywały dni, kiedy przechodziłem pod taśmą, która ogradzala miejsce zdarzenia, żeby zobaczyć, co jeden człowiek potrafi zrobić drugiemu, i myślałem sobie: Dlaczego ja tu jestem, do cholery? Byłoby mi o wiele lepiej, gdybym kosił trawę w MacArthur Park. – Uśmiecha się, ale niewesoło. – Prawdę mówiąc, sporo było takich dni.

– Ale nigdy pan tego nie zrobił.

– Czego?

– Nigdy nie zajął się pan koszeniem trawy w MacArthur

Park.

– Nie – mówi. – Ciągłe jeździłem oglądać miejsca zdarzenia.

– Ile pan prowadził spraw zabójstw, tak w przybliżeniu?

– Przez trzydzieści dwa lata? – Callson wypuszcza powietrze ustami. – Nie wiem. Trudno policzyć. Tysiąc, dwa tysiące, naprawdę nie mam pojęcia. Pewnie najlepiej będzie powiedzieć, że mnóstwo. Los Angeles to miasto, w którym było, i jest, sporo przemocy.

– Czy jakieś sprawy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Callson najwyraźniej usłyszał pytanie, ale nie odpowiada.

– Panie Callson?

Dalej milczy.

– Panie Callson, czy jakieś sprawy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Bardzo wolno kiwa głową, patrząc w przestrzeń za kamerą.

– Tak – mówi. – Tak, nie muszę się nawet długo zastanawiać, żeby przypomnieć sobie jedną taką sprawę.

1

Trzydziomowy pub Queen of Hearts znajdował się przy Seymour Place, w połowie długości ulicy, na południe od stacji metra Marylebone. Lokal był wyłożony taką samą szkloną terakotą, jaką można było zobaczyć na stacjach metra w całym mieście, a w środku panowała tylko odrobinę niższa temperatura niż na zewnątrz. Z nieba od wielu tygodni lał się żar, prażąc układ krwionośny miasta – wszystkie budynki, wszystkie chodniki, każde okno skąpane w blasku słońca – i teraz, pod koniec sierpnia, wydawało się, że nie ma przed nim ucieczki: klimatyzacja w pubie pracowała pełną parą, a na długim barze ustawiono dodatkowe wentylatory, ale w niczym to nie pomagało.

Kiedy kelner zaprowadził mnie do nakrytego dla dwóch osób stolika w głębi, przy oknie wychodzącym na zadbane ogród, zamówiłem piwo, po czym wyjąłem z torby laptop i zalogowałem się do wi-fi. Ledwie zdążyłem otworzyć przeglądarkę, gdy nagle zadzwonił mój telefon. Spodziewałem się, że to Melanie Craw, kobieta, z którą umówiłem się na lunch. Ilekroć się spóźniała – co zdarzało się rzadko – i dzwoniła do mnie po ustalonej godzinie, najczęściej informowała mnie, że coś jej wypadło i nie będzie mogła przyjść. To jednak nie była Craw. Ani nikt z listy moich kontaktów. Co dziwniejsze,

telefon w ogóle nie był z Wielkiej Brytanii.

Dzwonił ktoś ze Stanów Zjednoczonych.

Na mojej stronie internetowej były wszystkie dane kontaktowe, a trzy lata temu jedna sprawa zaprowadziła mnie aż do Nevady, nawiązałem więc pewne kontakty w Las Vegas i okolicach, choć rzadko rozmawiałem z tymi osobami. Ale to nie był kierunkowy 702, czyli nie Las Vegas, a kiedy zajrzałem do laptopa, by sprawdzić prefiks 952, okazało się, że to numer przypisany do sporego terenu na południowy wschód od Minneapolis. Kogo znałem w Minneapolis?

Zaciekawiony, wcisnąłem ODBIERZ.

– David Raker, słucham.

– Och, pan Raker. – Damski głos. Jakby zaskoczony, że odebrałem. – Nazywam się Wendy Fisher. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wendy Fisher. Przejrzałem w myśli rozmowy, które odbyłem w ciągu kilku ostatnich tygodni, usiłując przypomnieć sobie, czy w którejś z nich padło takie nazwisko. Byłem prawie pewien, że nie. Nie znałem tej kobiety; nie znałem nikogo z tej części Stanów.

– Bardzo przepraszam, że dzwonię tak niespodziewanie – ciągnęła – ale pomyślałam... hm, pomyślałam sobie, że może poświęci mi pan parę minut. – Jak gdyby czytając mi w myślach, dodała: – Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy. Nie zna mnie pan.

– Rozumiem. Słucham, czym mogę służyć, Wendy?

– Hm, chciałabym... miałam nadzieję...

Od razu zorientowałem się, że wahanie w jej głosie nie ma nic wspólnego z zaskoczeniem, że odebrałem telefon. Nerwowe staccato zdań, które z trudem z siebie wydobywała, świadczyło o udręce i bezradności. Słyszałem te emocje wielokrotnie, w każdej sprawie zaginięcia, którą zgodziłem się przyjąć.

– Czy ktoś zaginął?

– Tak. – Zamilkła na moment. – Moja siostra, Lynda. Nie daje znaku życia od października zeszłego roku. Nie wiem, co robić... nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

Gdy tylko wymieniła imię siostry, zaczął jej się rwać głos. Dałem jej chwilę, wracając wzrokiem do mapy Minnesoty, którą pokazywał ekran laptopa.

– Widzę, że dzwonisz ze Środkowego Zachodu.

– Zgadza się. – Potrzebowała jeszcze chwili, by zapanować nad sobą. – Z Lakeville. To miasto czterdzieści kilometrów na południe od Minneapolis.

– Z Minneapolis jest daleko do Londynu.

– Wiem – odrzekła. – Wiem, że daleko.

– Dlatego trudno będzie ci pomóc... jeżeli w tej sprawie dzwonisz.

Słowa uwięzły jej w gardle.

– Aha – wykrztusiła tylko.

– Trochę znam Stany, mieszkałem i pracowałem na obu wybrzeżach, może więc sytuacja wyglądałaby inaczej, gdybyś była z Nowego Jorku, Waszyngtonu albo Los Angeles. Ale Minneapolis... twoich okolic w ogóle nie znam. Lepiej zwróć się do kogoś na miejscu.

– Moja siostra mieszka w Anglii.

Pojąłem.

– Okay.

– Lynda spędziła w Europie większość dorosłego życia. – Powoli odnajdywała rytm i pewność siebie. – Znalazłam pana nazwisko w internecie, potem googlowałam i czytałam o sprawach, nad którymi pan pracował. O ludziach, których pan odnalazł. Oglądałam reportaż o panu w CNN i Fox News. Widziałam, co pana spotkało, kiedy przyjechał pan do Las Vegas. Widziałam o panu coś jeszcze w BBC, o sprawie z zeszłego roku. I pomyślałam: To jest człowiek, który może

pomóc znaleźć Lyn.

Milczałem.

– Pomoże mi pan ją znaleźć, panie Raker?

– Mam na imię David.

– David – powiedziała cicho. – Czuję, że jestem bardzo daleko od centrum wydarzeń. Policja nic nie wskórała. Może dla nich to tylko numer w kartotece czy jakieś papiery w szafce, ale dla mnie to jest wszystko. Nikt nie miał od niej żadnej wiadomości od października, a ja... po prostu bardzo za nią tęsknię. – Wymowna pauza, pociągnięcie nosem. – Mam oszczędności. Mogę zapłacić. Proszę mi pomóc.

Spojrzałem w okna pubu, przez które słońce wdzierало się do środka. To zawsze było najgorsze: moment, kiedy zrozpaczone głosy w słuchawce niepewnie poruszały temat pieniędzy. Zapłacimy każdą cenę. Damy ci wszystko, co mamy.

Tylko ją odszukaj, tylko go znajdź.

Nie wiedzieli, a może woleli nie wiedzieć, że chodziło mi o coś więcej. Owszem, musiałem płacić rachunki, jak wszyscy, ale potrzebowałem tych spraw także z innych, mniej oczywistych, powodów. Odkąd sześć lat temu pochowałem żonę, praca stała się dla mnie sposobem na przeżywanie żałoby. Zaginieni stali się moim kołem ratunkowym.

A teraz byli moim tlenem.

Mimo to trochę się wahałem przed spełnieniem prośby Wendy Fisher, tym bardziej gdy pomyślałem o możliwych konsekwencjach przyjęcia tego zlecenia. Dzieliły nas tysiące kilometrów, a w sprawach zaginionych osób dużo zależy od kontaktu twarzą w twarz, od obserwacji subtelności mimiki ludzi w reakcji na pytania. Skype nie potrafił oddać odcieni emocji, cierpienia i żalu.

– Panie Raker?

Otrząsnąłem się z zamyślenia.

- Tak. Jestem.
 - Pomoże mi pan? – zapytała.
 - Jeszcze nie wiem, Wendy.
- Milczała, wyraźnie zaskoczona.
- Mówiłaś, że siostra ma na imię Lynda.
 - Tak – potwierdziła cichym, nadal zgnębnym głosem.
- Przez „y”.
- A nazwisko?
 - Korin. Lynda Korin.
 - Mieszkała w Wielkiej Brytanii?
 - Tak. Od osiemdziesiątego czwartego roku. Wcześniej była w Hiszpanii. Wyjechała do Europy w połowie lat siedemdziesiątych i tak jej się spodobało, że postanowiła zostać.
- Ile ma teraz lat?
 - Sześćdziesiąt dwa... prawie sześćdziesiąt trzy. Ma urodziny w przyszłym miesiącu, trzynastego września.
 - Dobrze. A kiedy zaginęła?
 - Dwudziestego ósmego października, we wtorek.
- Dzisiaj był dwudziesty szósty sierpnia, czyli minęło prawie dziesięć miesięcy.
- Gdzie widziano ją po raz ostatni? – spytałem.
 - Słyszał pan o Stoke Point?
 - Nie, nie słyszałem.
 - Oczywiście nigdy tam nie byłam, ale zrobiłam research. Oglądałam zdjęcia. To malownicze miejsce na południowym zachodzie Anglii. O ile pamiętam, w Somerset, na wybrzeżu, parę kilometrów na północ od... hm... – Usłyszałem szelest przewracanych kartek. – Chwileczkę. Hm... tak, Weston-super-Mare.
 - Okay. Znam Weston.
 - Tam znaleziono samochód Lyndy.
 - Porzuciła go?

– Wszystko na to wskazywało. Samochód był zamknięty. W schowku została jej torebka i telefon komórkowy. Ale klucze leżały niedaleko w zaroślach.

– Rzuciła kluczyki obok samochodu?

– Zgadza się. Nie wiem dlaczego.

Nie odpowiedziałem, nie chcąc snuć przy niej domysłów – ale nasuwała mi się jedna możliwość: to nie Korin je wyrzuciła.

– Ktoś ją widział tego dnia, w którym zaginęła?

– Nie – odparła Wendy.

– Byli jacyś świadkowie?

– Żadnych.

– A zapis z kamer monitoringu?

– Nie było.

– Nie mieli tam żadnych kamer?

– Mieli jedną.

– Ale nie zarejestrowała twojej siostry?

Chwila ciszy.

– Właśnie to jest najdziwniejsze.

– To znaczy?

– Jest tam tylko jeden wjazd i wyjazd.

– Rozumiem.

– Kamera przy głównej bramie pokazała, że Lyn wjechała tamtędy... ale już nie wróciła. W ogóle. Ani pieszo, ani swoim samochodem, ani cudzym. Nie pojawiła się żywa ani martwa, ślad po niej zaginął. Jak gdyby w chwili, kiedy minęła tę bramę, właściwie przestała istnieć.

2

Nagle zdałem sobie sprawę, że bezwiednie otworzyłem w laptopie nowy dokument, całkiem odruchowo, instynktownie; zrobiłem to, mimo wszelkich niedogodności wynikających z faktu, że Wendy Fisher była w innej strefie czasowej. Zanotowałem też kilka informacji: wiek Lyndy Korin, datę jej zaginięcia i okoliczności, w jakich zniknęła.

Jak gdyby przestała istnieć.

– Nikt nie natrafił na żaden ślad Lyndy? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała Wendy. – Przepadła.

– Kto zgłosił jej zaginięcie?

– Ja. Zawiadomiłam policję drugiego listopada, po tym, jak od pięciu dni nie dawała znaku życia, ale wasza policja znalazła samochód dopiero dziesiątego.

– Kogo dokładnie zawiadomiłaś?

– Policję Avon i Somerset. Nie spałam całą noc, żeby zadzwonić zaraz z samego rana, kiedy w Anglii zacznie się dzień pracy. Policjant, z którym rozmawiałam, nazywał się Stewart Wolstenholme. Potem sprawę przejął ktoś inny... detektyw z wydziału dochodzeniowego, Raymond White. Okazał się trochę bardziej kompetentny niż ten Wolstenholme... pewnie był wyższy rangą albo bardziej doświadczony, wszystko jedno. Ale też nie potrafił jej znaleźć. A teraz Lyn...

Przepadła. Na zawsze.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z detektywem White'em?
– Jakies dwa, trzy miesiące temu. Zadzwoił do mnie z informacją, że nie ma nic nowego, ale że ciągle jej szukają. Wcale nie jestem pewna, czy to prawda.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się, że to tylko gadanina. Zanim oddzwonił, zostawiłam mu pięć wiadomości. Właściwie to polowałam na niego. Zawsze odnosił się do mnie uprzejmie, ale wiedziałam, że nie traktuje tej sprawy jako priorytetowej. To było słychać w jego głosie. – Urwała, z trudem powstrzymując łzy. – Wiem, że są zajęci. Wiem, że prowadzą inne sprawy. Ale ja od dziesięciu miesięcy przeżywam koszmar.

– Czy Lynda miała jakieś kłopoty? – spytałem cicho.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Finansowo wszystko grało. Lyn ma dom na wzgórzach Mendip i spłaciła już hipotekę. Byłam tam kilka razy. Naprawdę piękny. Wychodzi na wielkie jezioro, dookoła jest mnóstwo zieleni. Dostaje dobrą emeryturę, ale dwa razy w tygodniu chodzi do pracy, prowadzi księgowość jakimś miejscowym firmom... Wszystko układało jej się dobrze. Była zadowolona.

– Tak powiedziała?

– To znaczy?

– Mówiła ci, że jest zadowolona?

– Codziennie esemesowałyśmy. Kilka razy w tygodniu rozmawiałyśmy przez Skype'a. Nigdy nie miałam wrażenia, że coś ją martwi czy niepokoi... a gdyby tak było, jestem pewna, że coś by o tym wspomniała. Albo sama bym zauważyła.

Być może, pomyślałem. A być może nie.

– A to miejsce, w którym zniknęła...

– Stoke Point.

– Właśnie. Co o nim wiesz?

Sam zacząłem szukać informacji w Google'u.

– Co wiem? – Wciągnęła powietrze przez zęby. – Niestety, nie jestem ekspertem. Widziałam tylko mapy satelitarne. Zdjęcia. Mogę powiedzieć jedynie tyle, ile się dowiedziałam.

– To mi wystarczy.

– Wygląda na odosobnione miejsce. Parking jest na końcu trzykilometrowej drogi, biegnącej wzdłuż brzegu, ślepej, więc nie ma innej drogi powrotnej, a półwysep jest po drugiej stronie parkingu i sięga w morze na... chyba niecały kilometr. Nie sądzę, żeby to było... dobre miejsce, no... dla samobójców.

Ostatnie słowo zabrzmiało mocno.

– Przeczytałam, że półwysep wznosi się zaledwie pięć metrów nad poziom morza, a od brzegu oddziela go jeszcze pas skał, głazów i kamyków, szerokości od trzech do pięciu metrów, który ciągnie się po obu stronach. – Przerwała, by odetchnąć, jak gdyby dręczące myśli o tym, co mogła tam robić jej siostra, dławily ją w gardle niczym lepka gruda. – Chodzi mi o to – dodała słabym głosem – że gdyby ktoś rzeczywiście chciał się tam rzucić z brzegu, złamałby sobie tylko parę kości, chociaż też nie na pewno.

– Jak widzę, nie sądzisz, by Lynda miała skłonności samobójcze.

– Nie. Wykluczone.

– Wspomniałaś, że przy wjeździe była jedna kamera monitoringu?

– Zgadza się, tak mi powiedziano.

– Na pewno nie było innych?

– Pytałam o to White'a, a on zapewnił, że nie. Powiedział, że jedyna kamera jest przy bramie. Przesłał mi mailem kilka ujęć z zapisu wideo; nie ma wątpliwości, że Lyn wjechała na parking. To jej samochód. Ona siedzi za kierownicą. To Lyn.

– A później nie ma już nic?

– Zupełnie nic. Ona po prostu znikła.

– Nie mogła wyjść gdzieś w innym miejscu?

– Nie sędzę. Z tego, co mówił White i co samej udało mi się znaleźć w internecie, wynika, że wjazd na parking przy Stoke Point jest na końcu kamiennego mostu, który łączy półwysep z główną nadbrzeżną drogą. Gdyby nawet wyszła pieszo, musiałaby iść tamtędy. Kamera złapałaby ją na moście.

– Co się z nią działo, kiedy dostała się na półwysep? Nikt nie widział, żeby w dniu zaginięcia wsiadała do jakiejś łodzi albo wchodziła do wody, żeby dotrzeć do łodzi czekającej trochę dalej od brzegu?

– Mówiłam już, nie było żadnych świadków.

– Może więc ktoś zabrał ją na pokład?

– Z tego, co czytałam, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Nie mam pewności, ale próba podpłynięcia do półwyspu byłaby ryzykowna. Według godziny na zdjęciach z zapisu kamery, które widziałam, Lyn wjechała na parking około dziewiętej rano. Detektyw White powiedział mi, że o tej porze jest najniższy poziom wody podczas odpływu. Mówił, że w tej części świata po morzu zostaje tylko błoto, które jest niebezpieczne jak bagno.

Miała rację: ze względu na pływowe zmiany poziomu wody połączenie Kanału Bristolskiego zmieniały się w błotniste równie. Nie tylko uniemożliwiało to podpłynięcie łodzi do brzegu, ale sprawiało też, że pokonywanie mulistego dna pieszo było niebezpieczne.

No więc gdzie przepadła Lynda Korin?

– Czy White przesłał ci inne informacje?

– Parę zdjęć. Dostałam od niego kilka maili.

– I to wszystko?

Usłyszałam przeciągłe westchnienie.

– Wszystko. Wiem o Stoke Point tylko tyle, ile przeczytałam i ile mi powiedziano. Żałuję, że nie widziałam tego półwyspu na własne oczy. Jednak nie mogę zostawić męża, dzieci i wnuków, oznajmiając im, że wyjeżdżam na nie wiadomo

jak długo. Bardzo kocham siostrę, ale nie zostawię na całe miesiące rodziny, żeby bawić się w detektywa... – Wydała krótki, rozpaczliwy jęk, który mówił o jej cierpieniu więcej niż jakiegokolwiek słowa. – Tak naprawdę nie wiedziałabym, od czego zacząć. Nie jestem policjantem. Na litość boską, pracuję jako pielęgniarka. Dlatego postanowiłam zadzwonić do ciebie.

Uniosłem wzrok znad laptopa i w otwartych drzwiach pubu, na tle oślepiającego słońca, zobaczyłem Melanie Caw.

– Dam ci wszystko, co mam – powiedziała Wendy – co do dolara, co do centa. Nie jestem zamożna, nie mam fortuny, ale zrobię to dla Lyn. Zrobię, co tylko będzie trzeba, włożę w to całe serce i duszę. Proszę, pomóż mi ją odnaleźć.

Zastanawiałem się nad tym. Niedługo jednak myślałem.

– Masz u siebie skaner, Wendy?

To pytanie najwyraźniej zbiło ją z tropu.

– Hm, skaner do komputera? Tak, mam coś takiego.

– W takim razie proszę cię, żebyś zeskanowała wszystkie materiały, które zebrałaś i które bezpośrednio dotyczą zniknięcia Lyndy, a potem przesłała je mailem do mnie, razem z informacjami od detektywa White'a. Przejrzę to wszystko i dam ci znać.

– Och, dziękuję – powiedziała. – Dziękuję ci bardzo...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, głos jej się załamał i gdy chciała mi jeszcze raz podziękować, usłyszałem już tylko płacz.

3

– Wiem – powiedziała Melanie Caw, podchodząc do stolika. – Okropnie się spóźniłam.

Wstałem, by pocałować ją w policzek. Szczupła i subtelna, z jasnymi włosami do ramion, związanymi z tyłu, miała na sobie nieskazitelnie odprasowany ciemnoszary kostium ze spodniami. Wyglądała elegancko i onieśmielająco. Dokładnie tak, jak powinna się prezentować w swojej branży, gdzie każda słabość jest natychmiast wykorzystywana.

– Mogę ci poświęcić tylko godzinę – oznajmiła, przywołując gestem jednego z kelnerów. – Mam spotkanie w komisariacie przy Paddington Green, a jeszcze muszę wkuć masę informacji.

Niemal połowę swoich czterdziestu pięciu lat Caw spędziła w Policji Metropolitalnej i obecnie była inspektorem w komendzie głównej, co oznaczało, że dowodziła grupą złożoną z około pięćdziesięciu detektywów, funkcjonariuszy i personelu pomocniczego, która rozpracowywała sprawy zabójstw. Po raz pierwszy zetknęliśmy się właśnie na gruncie zawodowym i z początku Caw odnosiła się do mnie – jak do wielu osób, z którymi pracowała – z głęboką i nieprzejednaną podejrzliwością.

Jednak stosunki między nami stopniowo się zmieniły,

zwłaszcza odkąd zaginął jej ojciec. Chcąc za wszelką cenę wyjaśnić tę zagadkę i nie mając innego wyjścia, rada nierada poprosiła mnie, żebyśmy ustalili, co się z nim stało, i w konsekwencji chyba zrozumiała, jakim typem człowieka jestem. Zobaczyła, ile dla mnie znaczy ta praca, jak bardzo mnie pochłania. Te cechy często wbijały klin między mnie a innych – ale w przypadku Craw rezultat był odwrotny. Wciąż jednak nie miałem pewności, czy jesteśmy w oficjalnym związku, czy nie. Bardzo ją lubiłem. Uważałem, że jest atrakcyjna, interesująca, ambitna, choć zawsze odnosiłem wrażenie, że ma opory przed zrobieniem ostatecznego kroku i nie jest gotowa się zaangażować. Duży wpływ na to miała jej potrzeba, by chronić własną opinię w policji przed hienami czyhającymi na każde potknięcie, a także moja skłonność do ryzyka, do balansowania na krawędzi prawa, czego nie znosiła. Czasem w przyływie cynizmu dochodziłem do wniosku, że jej niechęć do pogodzenia się z tym, co robimy, to sprytny plan ucieczki – gdybym znalazł się w opałach, mogłaby się obrócić na pięcie i odejść, nie narażając na szwank swojej reputacji, nie ponosząc żadnych konsekwencji zawodowych.

– Co porabiałeś od rana? – spytała.

– Nic ciekawego.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że samozatrudnienie to taki luz.

Uśmiechnąłem się, wychylając połowę piwa.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z pewną kobietą z Minneapolis. Prosiła mnie, żebyśmy odnalazł jej siostrę.

Craw spojrzała na mnie.

– Z Minneapolis w Ameryce?!

– Spokojnie – odrzekłem. – Jej siostra mieszka tutaj.

– I bardzo dobrze. Wycieczka do Stanów to ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba. Co się stało z tą kobietą?

Wzruszyłem ramionami.

– Pojechała do jakiegoś malowniczego zakątka na wybrzeżu Somerset, porzuciła samochód i zniknęła z powierzchni ziemi.

– Zamierzasz wziąć tę sprawę?

– Tak.

Przyglądała mi się przez chwilę. Kiedyś byłoby to obojętne, enigmatyczne spojrzenie, ale odkąd lepiej ją poznałem, stało się bardziej czytelne. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, w jej oczach malowała się troska.

– Pracujesz w tym samym fachu co ja – przypomniałem jej.

– Tyle że ja po swoich sprawach nie wyglądam, jakbym spędziła pół roku w strefie działań wojennych. – Umilkła, muskając palcami łańcuszek na szyi. Widziała już moje blizny i równie dobrze poznała blizny, których nie było widać. – Nie zapominaj tylko, że dziesięć miesięcy temu zdiagnozowano u ciebie zespół stresu pourazowego.

– Łagodną postać stresu pourazowego.

– Łagodna amputacja pozostaje amputacją.

– Nic mi nie jest – zapewniłem ją.

– Miałeś iść do psychologa.

– Nie muszę chodzić do psychologa. Raz straciłem przytomność i miałem jeden krótki atak paniki. Nic więcej. Dobrze śpiam. – Pokazałem na nią i na siebie. – Wszystko układa się dobrze. Jestem szczęśliwy.

– Nie próbuj mi się podlizywać.

Oboje się uśmiechnęliśmy.

Dokończyłem piwo, ale gdy przełknąłem ostatnią kroplę, ciągle przyglądała mi się z tą samą miną.

– Musisz myśleć o córce – powiedziała. – Musisz też myśleć o Olivii.

Moja córka Annabel miała dwadzieścia sześć lat, a Olivia była jej jedenastoletnią siostrą. Olivia nie była moim biologicznym dzieckiem, ale ponieważ jej rodzice nie żyli i

została jej tylko Annabel, otaczałem ją równą troską. Ostatni tydzień wakacji spędzały w Hiszpanii z jakimiś znajomymi Annabel.

– Nic mi nie jest, Craw.

– Słuchaj, nie zamierzam tu siedzieć i wałkować w kółko tego samego. Ale kiedy wszystko idzie dobrze, to jasne, że sypiasz lepiej i dobrze się czujesz. Takie jest życie. Przystajesz spać i nie możesz myśleć o niczym innym dopiero wtedy, gdy coś się spieprzy. – Zamilkła na chwilę, ponieważ kelner przyniósł właśnie sałatkę i wodę mineralną dla niej oraz kanapkę dla mnie. Kiedy znowu zostaliśmy sami, podjęła: – Wiem, co chcesz powiedzieć. „Gdy biorę jakąś sprawę, jak mogę przewidzieć, czy skończy się dobrze, czy źle?”. Fakt, nie możesz. A wiesz już o tym, kiedy poczujesz nóż na gardle. – Wzruszyła ramionami i nabiła na widelec kawałek kurczaka.

Craw nigdy nie prosiła mnie, żebym porzucił swoje zajęcie, zawsze jednak wysuwała przeciwko niemu ten sam argument: w Metropolitalnej ograniczały ją przepisy, procedury i struktura służby; w mojej pracy nie było żadnych zasad. Nikt nie mógł mnie powstrzymać – i nikt nie mógł mnie uchronić przed upadkiem w przepaść.

– Obiecuj mi tylko, że pójdziesz na tę umówioną wizytę do lekarza w piątek rano – dodała, a gdy nie odpowiedziałem, spojrzała na mnie. – Zgoda?

Skinąłem głową, ale prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie pamiętałem.

– Bo skończysz jak Colm Healy, Raker.

To była druga rzecz, o której mi często przypominała. Healy’ego znaleźmy oboje i oboje z nim pracowaliśmy: znakomity eksplinierz, który przez swoje złe decyzje i bolesne rany zmienił się we wrak człowieka. Dziesięć miesięcy temu zostałem zmuszony do poszukiwania Healy’ego i ta sprawa mnie przytłoczyła. Po raz pierwszy w życiu doznałem ataku

paniki, straciłem przytomność, w ciągu miesiąca udało mi się przespać najwyżej kilka godzin. Odnalezienie go stało się moją obsesją, bo wydawało się, że nie miał nikogo innego prócz mnie. Ostatecznie zdołałem wyjaśnić zagadkę, ale w ciągu następnego miesiąca Craw doszła do przekonania, że ta sprawa ciągle mnie prześladowuje, drażni jak swędzące miejsce na ciele i utrudnia mi trzeźwą ocenę sytuacji.

– Rozchorowałeś się przez to poszukiwanie Healy’ego – powiedziała. – Zrobiłeś dla niego wszystko, co mogłeś. Lepiej będzie nie doprowadzać się znowu do takiego stanu.

Cały czas kiwałem głową, dając jej do zrozumienia, że biorę sobie do serca to, co mówi. Tym razem jednak postanowiłem się nie odzywać z zupełnie innego powodu: Craw potrafiła czytać we mnie jak w otwartej księżce – a nie chciałem, żeby przyłapała mnie na kłamstwie.

Dawno minął moment, w którym mogłem jej powiedzieć, co naprawdę odkryłem po zakończeniu poszukiwań Healy’ego. Upłynęło za dużo czasu. Za długo ją oszukiwałem. Chciałem jej wszystko wyznać, często wyobrażałem sobie tę sytuację, zastanawiając się, czy mi wybaczy, ale w końcu zawsze dochodziłem do tego samego wniosku – nie wybaczy. Wina była zbyt wielka, by mogła mi ją darować.

Tak więc nie powiedziałem nic.

A w starym domku rybackim na południowym wybrzeżu hrabstwa Devon, który zostawili mi w spadku rodzice – w pokojach, gdzie kiedyś mieszkali – toczyło się życie człowieka, którego istnienia nie odkrył nikt prócz kilku osób spotykających go codziennie w wiosce. Nazywał się teraz Bryan Kennedy. Tak brzmiało nazwisko właściciela rachunku bankowego, takie nazwisko widniało w jego prawie jazdy i paszporcie.

Ale on i ja znaliśmy prawdę.

4

Wyszedłem z Queen of Hearts i ruszyłem Marylebone Road na zachód. Zrobiło się tak gorąco, nawet w cieniu, że chociaż widziałem, jak gałęzie drzew rosnących wzdłuż chodnika porusza łagodny wiatr, to na skórze nie czułem najłżejszego podmuchu.

Po drodze zadzwoniłem do paru osób.

Pierwszą z nich był mój dawny kontakt, Ewan Tasker, którego poznałem w czasach mojej kariery dziennikarskiej. Pracował wtedy w NCIS, Krajowej Służbie Wywiadu Kryminalnego, a potem jej następczyni, czyli SOCA, Agencji do spraw Zwalczania Poważnej Przeszłości Zorganizowanej – z których wykluła się Narodowa Agencja do spraw Przeszłości, NCA – ale obecnie przeszedł już na częściową emeryturę i zajmował się konsultacjami. Nasze relacje, które początkowo były małżeństwem z rozsądku – on przekazywał mi materiały, które chciał upublicznić, ja wykorzystywałem go jako źródło informacji – z czasem przerodziły się w przyjaźń.

Odebrał po dwóch sygnałach.

- Raker! Co słycać?
- W porządku, Task. A u ciebie?
- Nieźle. Jeszcze sam chodzę do toalety.

- Zawsze to jakiś bonus. Możemy chwilę pogadać?
- Jasne. W jakie kłopoty tym razem się wpakowałeś?

Uśmiechnąłem się.

- Nie mam kłopotów. Na razie.
- Wiesz co, nie zmuszaj mnie, żebym przyszedł do ciebie i wtłoczył ci do paszczy te tabletki. Mimo że jestem stary, chyba potrafię jeszcze spuścić porządne lanie.

– Chyba masz rację – przyznałem, myśląc o wspomnianych przez niego tabletkach.

Stały w domu, wciąż w nierozpieczętowanej białej fiolce – antydepresanty, które przepisano mi na początku roku, kiedy sprawa z Healyem doprowadziła mnie do kresu wytrzymałości. Jeśli chodziło o przyjaciół, takich jak Tasker, w ich przekonaniu tabletki były teraz elementem mojej codziennej diety. Ale w rzeczywistości nie połknąłem ani jednej. Nie znosiłem myśli, że nie mógłbym w pełni nad sobą panować.

Skierowałem rozmowę na inny temat.

– Słuchaj, potrzebuję raportu o zaginięciu z października zeszłego roku. Chodzi o niejaką Lyndę Korin. Lyndę przez „y”, K-O-R-I-N. Dwudziestego ósmego października zniknęła na półwyspie o nazwie Stoke Point.

- Stoke?
- Tak, z „e” na końcu. To w Somerset.
- Dobra. Przewidujemy jakieś nieprzyjemne niespodzianki?
- Mówisz o tym, czy była notowana? Nie wiem. Nie przypuszczam.

– Na wszelki wypadek sprawdź. Masz jej datę urodzenia?

– Mam, trzynasty września pięćdziesiątego drugiego roku. Jeszcze jedna rzecz: szukam też zapisu z monitoringu. Z kamery zainstalowanej na tym Stoke Point. Interesuje mnie wideo z dnia przed zaginięciem Korin i może z następnego, jeżeli uda ci się zdobyć. W systemie na pewno będzie jakaś wzmianka na ten temat, ale nie wiem, czy nagranie jest w

wersji cyfrowej, czy fizycznej. Mam nadzieję, że cyfrowej.

- Popatrzę i dam ci znać.
- Świetnie. Będę wdzięczny.

Dotarłem do stacji metra Edgware Road. Po drodze musiałem uskakiwać przed milionem turystów pstrykających sobie telefonami zdjęcia, więc zlany potem, przystanąłem na chwilę przed wejściem na stację, aby znaleźć drugi numer. To też był mój dawny kontakt z czasów pracy w gazetach, haker Spike. Zналиśmy się od lat i choć nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, taki kontakt okazał się przydatny. Jeśli tylko pogodziłeś się z tym, że łamał dla ciebie prawo, miałeś pod ręką wszystkie konta mailowe, bilingi z numerów stacjonarnych i komórkowych, ogólne dane dotyczące finansów i wrażliwe dane osobowe.

Kiedy Spike odebrał, przedstawiłem mu dokładnie, czego potrzebuję.

- Czyli w zasadzie wszystko, co da się znaleźć o tej Korin?
- spytał.
- Bilingi, maile, finanse, cokolwiek.
- Chcesz określić granice czasowe?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Korin zniknęła dwudziestego ósmego października, więc może na wszelki wypadek zbierz dane z sześciu miesięcy przed jej zniknięciem i z dziesięciu miesięcy po.

- Załatwione.
- Dzięki, Spike. Jak sądzisz, ile czasu to zajmie?
- Facetowi z moimi możliwościami? – Zapadła cisza, zakłócana stukaniem długopisu o blat biurka. – Powinienem mieć coś dla ciebie jutro.

Wszedłem na stację.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).